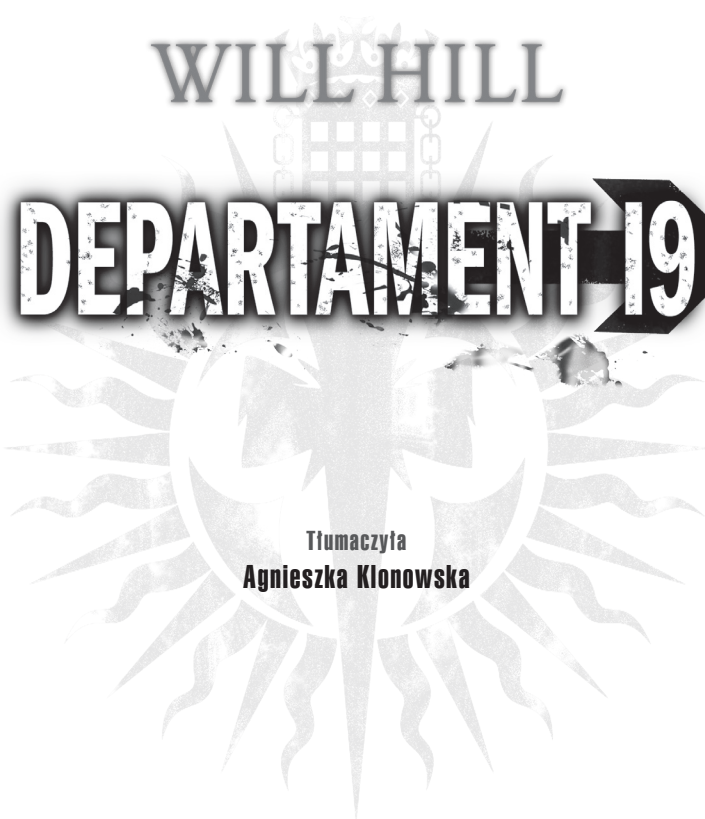


WILL HILL

DEPARTMENT 19

A large, faint, stylized logo serves as the background. It features a central emblem that resembles a shield or a crest, surrounded by a sunburst or starburst pattern with many pointed rays. The entire design is rendered in a light gray, almost white, tone.

Tłumaczyła
Agnieszka Klonowska

Nasza Księgarnia

Tytuł oryginału *Department 19*

Text copyright © Will Hill 2011

© Copyright for the Polish edition

by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013

© Copyright for the Polish translation by Agnieszka Klonowska,
Warszawa 2013

Cover illustrations by Bose Collins

Logo images © Shutterstock.com

Cover design layout © HarperCollinsPublishers Ltd 2011

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49

faks: 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy

tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa

tel.: 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książkę wydrukowano na papierze

Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka, Anna Słowik*

Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*

Redakcja *Anna Brynkus-Weber*

Korekta *Julia Celer*

Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12220-9

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań

PROLOG

**BRENCHLEY, KENT
3 LISTOPADA 2007 ROKU**

Jamie Carpenter oglądał w salonie telewizję, gdy usłyszał chrzęst żwiru pod kołami samochodu ojca, i to o dużo wcześniej porze niż zwykle. Chłopiec zmarszczył czoło i zerknął na zegar nad telewizorem. Był kwadrans po siedemnastej. Odkąd sięgał pamięcią, Julian Carpenter nigdy nie wracał z pracy przed dziesiętnastą, chyba że przy jakiejś szczególnej okazji, takiej jak urodziny mamy czy mecz Arsenalu w Lidze Mistrzów.

Jamie – tyczkowaty, trochę niezdarny czternastolatek o kościstej posturze, z niesforną brązową czupryną – zwlókł się z kanapy i podszedł do okna. Srebrny mercedes taty stał zaparkowany tam, gdzie zawsze – przed garażem obok domu. W blasku świateł stopu chłopiec zauważył, że ojciec wyjmuje coś z bagażnika.

„Może się rozchorował” – pomyślał, lecz po baczniejszym przyjrzeniu się uznał, że jednak nie; w czerwonej poświacie dostrzegł bystry, skupiony wzrok ojca. Mężczyzna pośpiesznie chował do kieszeni przedmioty z bagażnika. Uwagę Jamiego zwróciło coś jeszcze – tata raz po raz zerkał przez ramię w stronę drogi, jakby...

Coś poruszyło się przy dębie na krańcu ogrodu. Chłopak spostrzegł to kątem oka i odwrócił głowę. Ciarki przeszły mu po ramionach i plecach. Zdał sobie sprawę, że się boi. „Coś tu nie gra – stwierdził w duchu. – Bardzo podejrzana sprawa”.

Dąb wyglądał tak samo jak zawsze – sękate konary chyliły się na lewą stronę, a potężne korzenie wyrzuszały trawnik, spychając mur ogrodu ku ulicy.

To, co zobaczył Jamie, nie umknęło też uwagi jego ojca, który zastygł w bezruchu przy bagażniku auta, wpatrzony w gałęzie drzewa. Chłopiec także skierował wzrok w to miejsce – na trawie w świetle księżyca ciągnęły się długie, czarne cienie. Nic już się nie poruszyło, lecz mimo to nastolatek dostrzegł pewną zmianę.

Czarnych zarysów było więcej niż zwykle. Cień ogołoconych z liści gałęzi przypominał splot cienkich prostych linii, a tymczasem na trawniku widniały ogromne, masywne kształty, jakby w konarach kryło się...

„No właśnie – co?”

Jamie popatrzył na ojca i zapragnął, by ten natychmiast znalazł się w domu. Jednak on wciąż stał zapatrzony w dąb, a w ręce trzymał coś, czego chłopiec nie mógł dojrzeć.

Przy drzewie znowu coś drgnęło.

Strach chwycił Jamiego za gardło.

„Chodź do domu, tato. Szybciej. W ogrodzie czai się coś złego”.

Cienie poruszyły się na trawniku.

Gdy czarne kształty zaczęły się powiększać, przerażenie odebrało chłopcu głos. Spojrzał na dąb. Ukryte w koronie „coś” kołysało konarami, po których z szelestem zaczęły się zsuwać jakieś stworzenia – było ich wiele, całe mnóstwo.

Zerknął rozpaczliwie na ojca, lecz on ani drgnął. Stał w blasku reflektorów auta, zapatrzony w drzewo.

„Co tak sterczysz? Chodź do środka, proszę cię, błagam”.

Odwrócił głowę w stronę drzewa, a wtedy za szybą pojawiła się blada twarz dziewczyny o przekrwionych oczach i wykrzywionych wargach. Wydał z siebie rozdzierający krzyk.

Twarc dziewczyny znikła w ciemności. Coś przemknęło po podjeździe – ojciec popędził w stronę domu. Po chwili drzwi

wejściowe gwałtownie się otworzyły i Julian Carpenter wparował do salonu równocześnie z żoną, która właśnie przybiegła z kuchni.

– Odejdź od okna, Jamie! – krzyknął.

– Tato, co się tu...?

– Rób, co ci każę, i nie dyskutuj! Nie ma na to czasu.

– Na co nie ma czasu, Julianie? – wyjąkała mama Jamiego przez ściśnięte gardło. – Co się tu dzieje?

Nie zważając na żonę, Julian chwycił telefon komórkowy, którego Jamie nigdy przedtem nie widział, wystukał numer i przyłożył do ucha.

– Frank? Tak, oczywiście, rozumiem. Jaki jest przewidywany czas przybycia? Czy to dokładna godzina? W porządku. Uważaj na siebie.

Rozłączył się, po czym złapał żonę za rękę.

– Julianie, przerażasz mnie – szepnęła. – Błagam, powiedz, o co chodzi.

Popatrzył na jej bladą, zaniepokojoną twarz.

– Nie mogę – odparł. – Przykro mi.

Jamie przyglądał się tej scenie w oszołomieniu. Nic z tego nie rozumiał, absolutnie nic. Co czai się w mroku przed domem? Kim jest Frank? Był pewien, że żaden z kolegów ojca nie nosi tego imienia.

Nagle konar dębu niczym pocisk zbił szybę w oknie za plecami chłopca, roztrzaskując na kawałki mały stolik w salonie. Jamie z matką zareagowali jednogłośnie wrzaskiem.

– Odejdźcie od okna! – powtórzył Julian. – Trzymajcie się blisko mnie!

Jamie dzwignął się z podłogi, chwycił matkę za rękę i oboje podbiegli w jego stronę. Mężczyzna przytrzymał ich jedną ręką przy ścianie, a drugą sięgnął do kieszeni płaszcza po czarny pistolet. Matka ścisnęła dłoń chłopca aż do bólu.

– Julianie! – krzyknęła. – Po co ci broń?!

– Cicho, Marie – szepnął.

W oddali dało się słyszeć syreny.

„Całe szczęście, całe szczęście. Jadą nam na pomoc”.

Nocne powietrze w ogrodzie przeszył piskliwy, groteskowy śmiech.

– Szybciej – ponaglał szeptem Julian. – Błagam, szybciej.

Jamie zastanawiał się, do kogo tata kieruje te słowa, skoro on i mama stali tuż obok. Po chwili w ogrodzie rozbłysło światło i zapanował zgiełk – przed dom z piskiem opon podjechały dwie czarne furgonetki na sygnale. Chłopiec spojrzał na dąb oświetlony czerwono-niebieskim blaskiem. Było pusto.

– Nie ma ich! – zawołał. – Tato, zniknęli!

Na widok wyrazu twarzy ojca poczuł strach, silniejszy niż kiedykolwiek.

Julian się odsunął i stanął naprzeciw nich.

– Muszę iść – rzekł łamiącym się głosem. – Pamiętajcie, że kocham was oboje najbardziej na świecie. Zaopiekuj się mamą, Jamie, dobrze?

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

Kobieta pobiegła za nim, chwyciła go za ramię i obróciła ku sobie.

– Dokąd idziesz?! – zawołała. Łzy spływały jej po twarzy. – Dlaczego Jamie ma się mną zaopiekować? Co tu się dzieje?

– Nie mogę ci powiedzieć – odparł cicho. – Muszę was chronić.

– Przed czym?! – dopytywała się podniesionym głosem.

– Przed sobą – odrzekł, spuszczać głowę, po czym spojrzał na żonę, gwałtownym ruchem wyrwał się z jej uścisku i pchnął ją w głąb salonu.

Jamie pierwszy raz widział ojca w takim pośpiechu. Rzucił się, by pochwycić matkę, która potknęła się o nogę roztrzaskanego stolika. Jęcząc przeraźliwie, odepchnęła jego ręce. Podniósł wzrok i zobaczył ojca wychodzącego z domu.

Wstał z podłogi i z dłonią poranioną odłamkiem szkła podbiegł do okna. Wzdłuż podjazdu stało ośmiu uzbrojonych

mężczyzn w czarnych kuloodpornych kamizelkach. Ich pistolety maszynowe były wycelowane w Juliana.

– Ręce do góry! – zawołał jeden z nich. – Natychmiast!

Po kilku krokach ojciec Jamiego zatrzymał się i spojrzał na dąb. Następnie zerknął przez ramię, by uśmiechnąć się do syna stojącego w oknie. Wreszcie ruszył naprzód, sięgnął do kieszeni po pistolet i wymierzył go w najbliższej stojącego człowieka.

Nagle rozległ się ogłuszający huk. Jamie zakrył dłońmi uszy i krzyczał bez końca, podczas gdy z broni maszynowej buchnął ogień i posypały się pociski, rażąc śmiertelnie jego ojca.

DWA LATA PÓŹNIEJ

PODMIEJSKA DŻUNGLA

Jamie Carpenter poczuł smak krwi wymieszanej z piachem. Zaklął z ustami przy ziemi.

– Puszczaj! – wybełkotał.

Nad jego głową rozległ się wrzaskliwy śmiech, a po chwili ktoś wykręcił mu rękę za plecy, ponownie zadając straszliwy ból.

– Złam ją, Danny! – zawołał czyjś głos. – Wyrwij mu ją!

– Moment – odparł Danny, wyjąc ze śmiechu. Pochylił się nisko nad swoją ofiarą. – Wiesz, że stać mnie na to – szepnął do ucha. – Nic prostszego.

– Puść mnie, grubasie...

Ogromna dłoń o serdelkowatych paluchach chwyciła go za włosy i wcisnęła jego twarz w ziemię. Jamie z zamkniętymi oczami zaczął wymachiwać jedną ręką, próbując się dźwignąć z grząskiego błota.

– Przytrzymajcie mu drugą! – krzyknął Danny.

Chwilę potem Jamie poczuł ścisk wokół nadgarstka i czyjaś dłoń przycisnęła jego prawą rękę do ziemi.

Z powodu braku tlenu rozboleła go głowa. Nie mógł oddychać, nozdrza miał pełne lepkiego, cuchnącego błota. Leżał nieruchomo, przygnieciony prawie stukilogramowym ciałem Danny'ego Mitchella, który siedział mu na plecach.

– Dosyć tego!

Jamie rozpoznał głos pana Jacobsa, nauczyciela angielskiego.

„Oto przybywa mój wybawca niczym rycerz w lśniącej zbroi. Pięćdziesięcioletni facet, spocony pod pachami, z nieświeżym oddechem. Super”.

– Zostaw go, Mitchell. Drugi raz nie będę powtarzał! – zawołał nauczyciel.

W tej chwili Jamie mógł już swobodnie poruszyć rękami, a ciężar przygniatający plecy zniknął. Uniósł głowę z ziemi i wziął głęboki oddech. W płucach poczuł rwący ból.

– To tylko zabawa, panie profesorze – odezwał się Danny Mitchell.

„Świetna zabawa, nie ma co”.

Jamie przewrócił się na plecy i spojrzał po twarzach zebranych wokół gapiów, naocznych świadków jego upokorzenia. Patrzyli na niego podekscytowani, a zarazem zniesmaczeni.

„Nie cierpią Danny’ego Mitchella, ale mnie nienawidzą jeszcze bardziej”.

Pan Jacobs przykucnął nad nim.

– Wszystko w porządku, Carpenter?

– Tak, panie profesorze.

– Mitchell twierdzi, że to zabawa. Czy mam mu wierzyć?

Danny rzucił Jamiemu ostrzegawcze spojrzenie zza pleców nauczyciela.

– Tak, panie profesorze. Chyba trochę mnie poniosło.

Jacobs przyjrzał się ubrudzonemu ubraniu chłopca.

– Właśnie widzę. – Wyciągnął rękę, a Jamie chwycił ją i z głośnym chłupotem wstał z kałuży błota. Kilkoro zebranych zachichotało, ale nauczyciel zgromił ich wzrokiem, poczerwieniały z gniewu.

– Już was tu nie ma, sępy! – krzyknął. – Marsz do klasy, bo inaczej wszyscy zostaniecie po lekcjach do końca dnia!

Tłum się rozproszył i Jamie został na boisku sam na sam z panem Jacobsem.

– Jamie – zaczął. – Gdybyś chciał kiedyś porozmawiać, wiesz, jak trafić do mojego gabinetu.

– Porozmawiać? A o czym, panie profesorze?

– No wiesz, o swoim ojcu... o tym, co się stało.

– Co ma pan na myśli, panie profesorze?

Nauczyciel długo mu się przyglądał, aż wreszcie spuścił wzrok.

– Chodźmy – powiedział. – Powinieneś się umyć przed następną lekcją. Możesz skorzystać z łazienki dla personelu.

Kiedy dzwonek oznajmił koniec ostatniej lekcji, Jamie powolnym krokiem ruszył szkolną ścieżką w stronę bramy. Zwykle miał się na baczności przed czyhającym zewsząd niebezpieczeństwem, a mimo to tego dnia podczas długiej przerwy dał się zaskoczyć Danny'emu. Postanowił już nigdy więcej do tego nie dopuścić.

Mijając grupki idących na autobus dzieci oraz zaparkowane auta rodziców, zwolnił kroku. W obawie przed zasadzką rozglądał się na wszystkie strony swoimi błękitnymi oczami.

Zesztywniał na widok Danny'ego Mitchella, który ryczał swoim głupawym śmiechem i wymachiwał rękami, tłumacząc coś otaczającej go grupce wyrostków, wpatrzonych w niego z podziwem.

Jamie przedarł się między krzakami i przemknął na drugą stronę ulicy, by go nie dostrzegli. Nasłuchiwał, czy nie krzyczą za nim ani nie biegną. Nikt go nie gonił. Wkrótce był już daleko od szkoły, w dzielnicy domów szeregowych, zadbanych i prawie identycznych. Mieszkał tam razem z matką.

Od śmierci ojca trzykrotnie w ciągu dwóch lat zmieniali miejsce zamieszkania. Zaraz po tragedii przybyła policja z informacją, że Julian Carpenter był zamieszany w spisek i przekazywał brytyjskiej komórce terrorystycznej informacje (tajne, do których – jako pracownik Ministerstwa Obrony – miał dostęp). Funkcjonariusze, pełni życzliwości i współ-

czucia, zapewniali, że nie ma żadnych dowodów, by Jamie lub jego matka mieli z tym cokolwiek wspólnego. To jednak nie pomogło. Prawie natychmiast zostali zasypani listami od sąsiadów patriotów, którzy nie chcieli, aby w spokojnej dzielnicy, gdzie czytywało się brukowiec „Daily Mail”, mieszkała rodzina zdrajcy.

Kilka miesięcy później matka sprzedała dom w Kent. Jamieemu było to obojętne. Miał mgliste wspomnienia z tamtej tragicznej nocy. Dąb w ogrodzie budził w nim strach. Żeby ominąć miejsce, w którym zginął jego ojciec, obchodził trawnik dookoła albo przeskakiwał zwirową ścieżkę. Zawsze trzymał się jak najdalej od drzewa.

O twarzy za oknem i upiornym śmiechu, który dobiegł ich wtedy przez stłuczoną szybę z ogrodu, Jamie całkiem zapomniał.

Kiedy zamieszkali u ciotki i wujka w wiosce pod Coventry, Jamie rozpoczął naukę w nowej szkole, a matka podjęła pracę recepcjonistki w gabinecie lekarskim. Niestety, plotki dotarły tam za nimi. Pewnego razu Jamie złamał nos koledze z klasy za to, że żartował z jego ojca. Tego samego dnia ktoś wrzucił przez okno cegłę do kuchni ciotki.

Następnego ranka musieli się wyprowadzić. Wsiadli w pociąg do Leeds i znaleźli dom w podmiejskiej dzielnicy, podobnej do makiety z klocków Lego. Kiedy chłopiec po raz drugi w ciągu trzech miesięcy został wydalony ze szkoły za wagarowanie, matka nawet nie krzyczała, tylko złożyła wypowiedzenie właścicielowi domu i zaczęli się pakować.

Wreszcie zamieszkali w cichej okolicy na obrzeżach Nottingham. Było tu szaro, zimno i ponuro. Jamie, urodzony i wychowany na wsi, miłośnik zabaw na świeżym powietrzu, musiał się szwendać po betonowych tunelach i parkingach przy supermarketach, w kapturze mocno naciągniętym na głowę. Uszy miał zatkaane słuchawkami od iPod'a, z których dudniła muzyka. Trzymał się na uboczu, z dala od młodzie-

żowych gangów gromadzących się w cienistych zaułkach tej podmiejskiej dżungli. Zawsze unikał mrocznych miejsc. Sam nie wiedział dlaczego.

Przemknął szybko przez osiedle cichymi uliczkami, mijając nijakie domy i używane samochody. Grupka dziewcząt obrzuciła go wyraźnie wrogim spojrzeniem. Jedna z nich szepnęła coś do koleżanek, które zachichotały. Chłopiec poszedł dalej.

Miał szesnaście lat... i był straszliwie samotny.

Zamknął frontowe drzwi małego domu, w którym mieszkał z matką. Prowadzili w miarę spokojne życie. Skierował się do pokoju, by zdjąć zabłocone ubranie. W połowie schodów usłyszał swoje imię.

– Co tam, mamgo?! – zawołał.

– Zejdź, proszę, na chwilę.

Jamie zaklął pod nosem, ale zbiegł ze schodów i wszedł do salonu. Matka siedziała na krześle pod oknem. Spojrzała na niego z takim smutkiem, że ścisnęło go w gardle.

– Co się stało? – spytał.

– Dzwonił twój nauczyciel – odparła. – Pan Jacobs.

„Rany, po co ten facet wtrąca się w nie swoje sprawy?”

– Serio? Czego chciał?

– Podobno wdałeś się w bójkę.

– Nieprawda.

Matka westchnęła.

– Martwię się o ciebie – przyznała.

– Niepotrzebnie. Dam sobie radę.

– Ciągle to powtarzasz.

– Więc może wreszcie uwierzysz mi na słowo.

Kobieta przymrużyła powieki.

„Musiało cię zabołec. I dobrze. Teraz możesz na mnie na krzyczeć, a ja pójde na górę i przez resztę dnia nie będziemy się do siebie odzywać”.

– Mnie też go brakuje, Jamie – dodała.

Chłopiec wzdrygnął się jak rażony prądem.

– Codziennie za nim tęsknię.

Przez wielką gulę w gardle ledwo wydobył z siebie głos.

– To dobrze – wykrztusił. – Bo ja nie tęsknię. Wcale.

Matka podniosła na niego wzrok. Łzy wezbrały jej w oczach.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Jak najpoważniej. Był zdrajcą i przestępcą. Zrujnował nam życie.

– Nieprawda. Mamy jeszcze siebie.

Jamie się zaśmiał.

– Jasne. Sama widzisz, jak świetnie nam idzie.

Z oczu matki popłynęły łzy, a kiedy spuściła głowę, stoczyły się po policzkach i zaczęły kapać na podłogę. Chłopiec patrzył na nią bezradnie.

„Podejdź do niej, przytul ją, powiedz, że wszystko będzie dobrze”.

Bardzo chciał to zrobić. Najbardziej na świecie pragnął teraz przykleknąć przy matce i pokonać przepaść, która zaczynała ich dzielić, odkąd zginął ojciec. A jednak nie mógł. Zastygł w miejscu, wpatrzony w płaczącą kobietę.

WINY OJCA

Następnego ranka po przebudzeniu Jamie wziął prysznic, włożył ubranie i wymknął się z domu, żeby nie natknąć się na matkę. Ruszył przez osiedle tą samą drogą co zwykle, lecz zamiast skręcić w ulicę prowadzącą do szkoły, poszedł prosto, przez małą galerię handlową, gdzie mieściły się McDonald's i wypożyczalnia płyt DVD. Następnie wszedł na pomazany graffiti most kolejowy. Po betonie pokrytym rozdeptaną gumą do żucia wałało się potłuczone szkło. Minął stację i stojaki rowerowe i udał się w stronę kanału. Postanowił, że nie pójdzie dzisiaj do szkoły. Za nic w świecie.

„Kurczę, co ją tak zdołowało? Że nie tęsknię za ojcem? Przecież był nieudacznikiem. Czy ona tego nie rozumie?”

Zaciskając pięści, zszedł po betonowych stopniach na ścieżkę holowniczą. Kanał płynął tu w prostej linii przez prawie dwa kilometry, dzięki czemu Jamie mógł z bezpiecznej odległości wypatrzeć, czy nic mu nie grozi. Mimo swej czujności nie dostrzegł nikogo prócz ludzi spacerujących z psami oraz kilku bezdomnych, przycupniętych pod niskimi wiaduktami zwieńczającymi wąski kanał. Szedł w zamyśleniu.

Nikommu, a zwłaszcza matce, nie potrafił wyznać, jak wielką pustkę czuł w swoim życiu po śmierci ojca. Bardzo ją kochał i nienawidził siebie za to, że tak ją traktuje. Odrzucał ją, kiedy

najbardziej go potrzebowała, choć wiedział, że poza nim nie ma nikogo. Nic nie mógł na to poradzić; narastający w środku gniew domagał się uwolnienia, a matka była akurat pod ręką. Ten, który sobie na niego zasłużył, odszedł.

Ojciec, tchórzliwy nieudacznik, zabierał go do Londynu na mecze Arsenalu, kupił mu szwajcarski scyzoryk, który Jamie już od dawna przestał nosić w kieszeni, pozwolił mu strzelać z wiatrówki w polu za domem, pomógł zbudować szałas na drzewie i co sobotę rano oglądał z nim kreskówki. Mama nigdy tego nie robiła, a wcale tego od niej nie oczekiwał. Tęsknił jednak za przeszłością tak bardzo, że aż wstydził się przyznać.

Był wściekły na ojca za to, że zostawił ich samych, że musieli opuścić ukochany stary dom i zamieszkać w tym okropnym miejscu, z dala od przyjaciół.

Był wściekły za wrogie miny swoich prześladowców w każdej nowej szkole, do której musiał chodzić. Dzieci szeptały za jego plecami, a szkolne łobuzy upatrywały sobie w nim – nowym chudzielcu, którego ojciec próbował pomagać terrorystom we własnym kraju – idealną ofiarę.

Był wściekły na matkę za to, że nie chciała dostrzec całej prawdy o swoim mężu, i na nauczycieli, że starali się go zrozumieć, że kazali mu opowiadać o ojcu i zwierzać się ze swoich uczuć.

Był wściekły.

Otrząsnąwszy się z rozmyślań, spojrzął w niebo, na słońce, którego blade promienie przedzierały się przez szarą powłokę chmur. Wyjął z kieszeni komórkę i sprawdził godzinę – było już prawie południe. Na wprost ciągnęła się wydeptana ścieżka, prowadząca przez skarpe do małego parku, otoczonego wysokimi brzozaami. Park zawsze świecił pustką; było to jedno z jego ulubionych miejsc.

Usiadł na trawie, z dala od drzew rzucających cienie w południowym słońcu. Nie zabrał z domu śniadania, bo nie wcho-

dził do kuchni, żeby nie natknąć się na matkę. Zapakował więc do plecaka puszkę coli, kilka czekoladowych batonów i cukierków. Cola zrobiła się ciepła, a czekolada na wpół rozmiękła, ale było mu wszystko jedno.

Kiedy zjadł, położył się na trawie z głową na plecaku i zamknął oczy. Nagle poczuł się strasznie zmęczony i już nie chciało mu się myśleć.

„Piętnaście minut. Tylko krótka drzemka... Nie dłużej niż pół godziny”.

– Jamie.

Otworzył gwałtownie oczy i ujrzał nad sobą czarne nocne niebo. Podnosząc się z ziemi, przetarł powieki i rozejrzał się po mrocznym parku. Wieczorny chłód zaczął się dawać we znaki i ciarki przeszły mu po ciele, gdy zdał sobie sprawę, że siedzi w miejscu, gdzie zbiegają się cienie pni.

– Jamie.

Odwrócił się.

– Kim jesteś?! – zawołał.

Po parku rozniósł się śmiech.

– Jamie. – Głos był melodyjny, jakby ktoś wyśpiewywał jego imię, by rozbrzmiewało echem wśród konarów. Należał do dziewczyny.

– Gdzie jesteś? To nie jest śmieszne!

Znowu ten chichot.

Wstał i powoli się obrócił. Nikogo nie było widać; za rzędem szerokich, sękatych drzew rozciągał się mroczny park.

„Łatwo się tam ukryć”.

Nagle w chłopcu coś drgnęło – jakby ślad wspomnienia dziewczęcej twarzy za oknem. Nic jednak nie pamiętał.

Za jego plecami zaszeleściła trawa.

Skierował twarz w tę stronę. Serce mu łomotało.

Nic.

– Jamie.

Czuł, że tym razem głos dochodzi z bliska.

– Pokaż się! – zawołał.

– Dobrze – odezwał się głos prosto do jego ucha.

Jamie wrzasnął i obrócił się, wymachując pięściami. Jego prawa ręka natrafiła na opór. Zadrżał ze strachu. Po chwili zamarł.

Przed nim leżała dziewczyna, mniej więcej w jego wieku, i trzymała się za nos. Kiedy cienka strużka krwi spłynęła jej po wargach, dziewczyna wysunęła język i ją zlizwała.

– O rany! – rzucił Jamie. – Strasznie cię przepraszam. Nic ci nie jest?

– Kretynie – fuknęła dziewczyna, przysłaniając twarz dłonią. – Co cię napadło?

– Przepraszam – powtórzył. – Po co się wygłupiasz?

– Chciałam cię tylko przestraszyć – odparła obrażona.

– Dlaczego?

– Tak sobie, dla zabawy.

Coś zamajaczyło mgliście w pamięci Jamiego.

– W porządku, udało ci się. Nic, tylko pogratulować.

– Dzięki – mruknęła dziewczyna, wyciągając rękę. – Możesz mi wstać?

– O, przepraszam. Oczywiście – odrzekł i podał jej dłoń.

Dziewczyna podniosła się, otrząsnęła i wytarła nos.

Jamie zaczął się jej przyglądać. Była naprawdę bardzo ładna: ciemne włosy opadały na ramiona, miała jasną cerę i ciemnobrązowe oczy. Czując na sobie jego wzrok, posłała mu uśmiech. Chłopiec się zarumienił.

– Podobam ci się? – spytała.

– Wybacz, nie chciałem się gapić. Ja tylko... hm...

– Chciałeś. Ale nie szkodzi. Jestem Larissa.

– A ja... – Trybiki w jego głowie nagle zaskoczyły i ogarnął go strach. – Wołałeś mnie po imieniu – zauważył, cofając się. – Skąd mnie znasz?

– Nieważne, Jamie – odparła, a jej śliczne brązowe oczy błysnęły przeraźliwą czerwienią. – To już nie ma znaczenia.

Przemknęła niczym cień i w ułamku sekundy znalazła się obok niego. Ujęła w dłonie jego twarz, ściskając ją potwornie mocno.

– Nic już się nie liczy – szepnęła.

Jamie popatrzył w jej czerwone oczy i zemdłał.